



● Człowiek jest silny

Dochodziłem do siebie po powrocie z obozu, tylko na wiosce ciągle pytali, co tam było. Ja nic nie mówiłem. Co było mówić – przecie ja podpisał papier, a na samą myśl o powrocie strzeliłbym sobie w łeb. Jadłem bardzo spokojnie. Znachor dostał kurę i jajka, to przychodził i sprawdzał. Dawkował jedzenie, żeby jelita nie pękły, na koniec dostał jeszcze od matki słoninę – rozdziwił gębę z czarnymi zębami-kółkami jak niedojda wiejska, tak słonina była w cenie!

Matka mówiła, że cierpieli głód, jak mnie nie było. Ja był sprytny, jak byłem w chałupie, to zawsze było dobrze. To zajączka się w lesie upolowało, wnyk z włosa końskiego zrobiło na kuropatwę, a jak wracałem z łowów, to i z pola główkę kapusty czy miareczkę ziemniaków się smyrnęło, no – trzeba było sobie radzić.

Spokój nie trwał długo. Gdzieś tak po 4 miesiącach sołtys przyszedł. Przyniósł pismo – na roboty trzeba się stawić, Baudienst dla Rzeszy w junaki pod Kraków, w służbę germańcom. Stawilem się od razu. Z naszej wsi byli jeszcze Wojciech Ptaszek i Ludwik Podgórski. Nawet przez głowę mi nie przeszło, żeby się nie stawić, komin ciągle się śnił. Budowa była ogrom-

na, to lotnisko pod Krakowem, dziś Balice. Tu nie było masakrowania ludzi, mordowania bez sensu; jedzenie było znośne, tylko mnie było mało, ja miałem 18 lat, młody, to potrzebowałem jeść, a było ciągle mało. Marzeniem mojego żołądka było raz tak porządnie się nawcinać do syta.

Robota ciężka po 12 godzin, a co tydzień kwatarka wódki i 10 papierosów marki „Juno”, bez ustnika, oraz pieniądze, ale śmiesznie mało – nie pamiętam wiele, przecieży myśmy byli dla nich darmowi, więc ile miało być? Gówniane te kwoty były po prostu. Jak mówię, ludobójstwa to tu nie było, ale jak się brachu od roboty uchylał jaki, to kulkę w łeb mógł zarobić, a i za uciekanie też taka sama kara. Trzeba było tyrać zdrowo. Budowa ta była ważna dla fryców. Za spóźnienie się na apel, za niezaslaną pryczę kara bunkra po kolana w wodzie, a żeby taki już wiedział, że czasu tracić nie można, jak który wylądował w takim bunkrze, to już szybko wszystko pojmował, wszystko chodziło jak w zegarku. Sam posmakowałem tego rarytasu dwa razy. Po robocie i apelu wszyscy do baraków, a ty ptaszku do bunkra i do rana kulasy w wodzie, a rano gwizdek, odryglowane drzwi i hajda do roboty znowu! Jak się siedzi w takiej norze – ciemno, cisza, nie ma się myśli, odchodzi się od zmysłów... Młody byłem, wytrzymałem.

Byłem tam prawie calusieńki rok. Miałem tam dobrą okazję przyjrzeć się Niemcom, bo tam nie było zbrodniarzy, esesmanów, było dużo wojska, szczególnie lotników, cywilnych inżynierów, personelu, co naprawiał samoloty. Część lotniska funkcjonowała, odlatywały stamtąd samoloty na front wschodni i tu się właśnie napatrzyłem, jak Niemcy liczyli, ile maszyn poleciało, a ile wracało, i tu się najwięcej radowałem. Czasami tylko cztery, pięć wracało na dwadzieścia, które wystartowały. Dostawali w dupę, to nas wszystkich najbardziej cieszyło. Ci mechanicy, co stali na ziemi i liczyli, to nieraz widziałem, jak płakali, nieraz który kluczem o ziemię rzucił, przeklinał, że nie ma ich kolegów. Ci z lotników, co wracali, to nieraz opowiadali, jakie były walki, że było ostro, że ten czy tamten spłonął i nigdy go nie zobaczę. Jak wracało cztery, pięć samolotów, wychodzili, przecierali oczy rękawem i prosili mechaników o papierosa. Jeden to aż pięć na raz wypalił. Ci się go pytali, jak było, co, gdzie, co się działo, skakali koło niego, a on tak tylko ręką pod szyją pokazał i powiedział, że kaput. Naprawdę cieszyłem się z tego, że oni umierali. Tak, myślałem, niech giną za tego swojego fūrera, palą się żywcem w tych kabinach, to sprawiało mi największą radość.

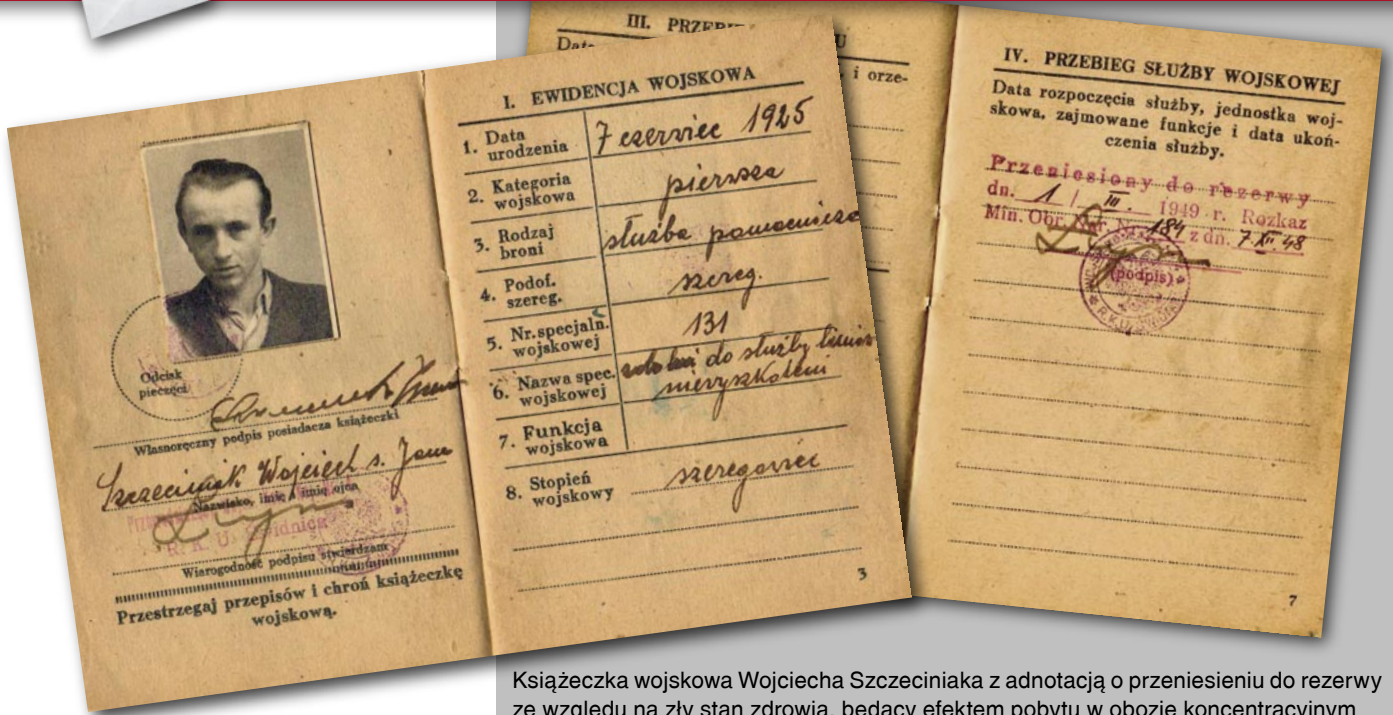
Było też tak, że do pracy wożono nas ciężarówkami – trzydziestu, dwudziestu na wozie, jak były gdzieś dalej prowadzone roboty. Raz kierowca był spóźniony, a u szwabów czas na wagę złota – zatem chciał nadrobić i jechał bardzo szybko. Wjechał chyba w jakąś dziurę, auto tak podrzuciło, że ta plandeka z tyłu, co była przypięta, to się odpięła. Pięciu nas wypadło z samochodu, łbem o kamienie uderzyłem i straciłem przytomność. Obudziłem się w szpitalu. Jak otworzyłem oczy, to myślałem, że to nie szpital, że ja już umarłem. Gdzie u hitlerowca szpital, jeszcze dla mnie, polskiego bandyty? Jednak się pomyliłem, był to najprawdziwszy szpital. Germańcom brakowało robotników, nie zabili nas, tylko dali do wojskowego szpitala na leczenie, a ja miałem wstrząs mózgu. Leżałem więc w najprawdziwszym wojskowym szpitalu i dostawałem jedzenie i leki. Lekarz z sio-

Ślub Wojciecha Szczeciniaka z Jadwigą Skorupą, 1950 r.





LISTY DO REDAKCJI



Książeczka wojskowa Wojciecha Szczecińskiego z adnotacją o przeniesieniu do rezerwy ze względu na zły stan zdrowia, będący efektem pobytu w obozie koncentracyjnym

strą z czerwonym krzyżem na fartuchu przychodzili mnie badać, pytali, jak się czuję. Tak naprawdę było, nie kłamie. Ja ich tak nienawidziłem, a oni mnie nie zabili, tylko uratowali. Po jakimś tygodniu zaczęłam dochodzić do siebie i rozglądać się wokół mojego łóżka. Wszędzie leżeli żołnierze niemieccy. Najgorsza była noc, bo wtedy dostawali szalu – wyli, jęczeli, wołali o pomoc. Mieli takie same sny jak ja dziś po obozie.

Jednego dnia przywieźli trzech lotników i jednego oficera Wehrmachtu. Ten oficer to nie miał nóg, same kikuty takie wisiały, lotnik był bez uszu, a tych dwóch to w ogóle nie miało twarzy, całe popalone. Ci bez twarzy, bez oczu to tak cztery noce wyli z bólu, musieli ich przywiązywać do łóżek. Raz jeden z nich w jakimś szale pościągał bandaż. Jezu, jak ja zobaczyłem tę ranę! To nie była rana, to było mięso, bijące, drgające mięso. Jak oni klęli Hitlera, szczególnie ten, co nie miał nóg, krzyczał, że to zguba narodu niemieckiego. Prosił codziennie lekarza o pistolet, że już nie ma po co żyć, że musi strzelić sobie w łeb, nie ma nóg. Miał 26 lat, w te kikuty wdało się zakażenie i umarł pięć dni potem. Ci ranni

żołnierze niemieccy, czasami już tylko tor sy z głowami, klęli Hitlera, SS i gestapo. Lekarz mówił, że im już wszystko wolno mówić, ich nikt nie aresztuje. Lekarze patrzyli tylko i kiwali głowami, a te siostry to płakały i zakrywały oczy.

Wyleczono mnie i poszedłem do lekkiej pracy. Jeździłem taką kolejką wąskotorową z majstrem niemieckim. Pocziwie chłopisko, jednak broń miał w kaburze i na pierwszy dzień powiedział:

– Ja nie z tych, co masakrują Żydów i Polaków, ale jak ci przyjdzie do głowy uciekać, to zabiję jak psa na miejscu!

Ja byłem skierowany do tej roboty na rok, czas pobytu dobiegał do końca, lada dzień miałem zostać zwolniony. Rozeszły się pogłoski, że w życiu nas nie zwolnią, wywiozą dalej do Niemiec, ruscy już blisko, uciekają i biorą wszystkich ze sobą. Pierwszej nocy Wojtek Ptaszek i Ludwik Podgórski zrobili podkop i zwiali. Nikomu nie mówili, nawet mnie nie obudzili. Po wojnie, kiedy się z nimi spotkałem, nigdy nie rozmawialiśmy na ten temat.

Targało mną pytanie, co dalej teraz robić. Myśl o ucieczce i powrocie do obozu nie dawała spokoju, ale myślę sobie, trzeba

wiać, szukać sposobności ucieczki, a jak mnie złapią i do lagru wtrąca, to w pierwszy dzień na druty pójde i skończę ze sobą, nie będę się męczył. Zaczęłam myśleć zatem o ucieczce prawie 24 godziny. Majster Niemiec prowadził kolejkę, a ja ładowałem piasek i mówię do niego, żeby się nie martwił, ja nie ucieknę, mam 4 dni do zwolnienia. Uśmiecham się do niego codziennie, witam, łgam szwaba, ino huczy! I tak jeden kurs, ja w drugim wagoniku, kiwam, że gut, że załadowane, odjazd! Drugi kurs – ja już w 4 wagoniku, macham, że alles gut, jechać. Trzeci kurs – ja w 6 wagoniku, obraca się i patrzy, ślepiami łypie cały czas, a ja, że odjazd, wszystko dobrze, jedziemy – musiałem go oswoić. To było właśnie to, o co chodziło. Myśmy mieli takie czerwone spodenki z kieszenią z tyłu, to była taka kieszeń na dokument, że ja służę Niemcom. Następnego dnia pracy – już od rana wpakowałem się w wagonik, majster nawet na mnie nie spojrział. Teraz! Tak, tylko teraz muszę to zrobić! Serce bije. To mało powiedziane bije – trzepocze, nerwy prężą się we mnie okropnie. Jechali my tą kolejką przez pola, tylko po jednej stronie było zboże. Myślę więc – dawaj tu w te kłosy!



Ale tak to szwab zobaczy, jak biegnę, gdzie się rusza zboże i kropnie mnie na pewno. Nie, w lany nie, lepiej w ziemniaki po drugiej stronie i dawaj! Skok i na czworaka ile sił w nogach, byle jak najdalej od kolejki. Wszystko to była chwila, jak byłem w polowie pola, to słyszę, jak fryc woła:

– Wojty, Wojty!

Zanim się zorientował, to mnie już dawno nie widział. Strzelał, ale w powietrze chyba. A szlag go niech trafi, niech strzela, ja uciekłem i naprawdę się udało, jego wołanie i strzelanie miałem w dupie!

No tak, udało się, ale co teraz robić, cholera jasna? Do chałupy nie ma po co, zaraz kto może donieść. Świń nie brakowało i u nas na wiosce, no cóż – będą się ukrywał po lasach do przyjścia ruskich, skoro Niemce wiały spod Balic, to wojna już powinna się skończyć. Dla człowieka tak w kalendarzu 5–6 miesięcy to nic, ale dla kogoś, co nie ma gdzie iść, co wie, że jak go złapią, to śmierć murowana... Przecie ja się na zagładę napatrzył. Zanim ruski przeszedł, wycierpiałem się jeszcze dużo.

Tak zaczęło się moje łażenie po lasach i wsiach. Trzeba było uważać – sporo było folksdojczów; jak Niemcy weszli, to się nieraz chórem zapisywali. No, 6 lat to oni może i mieli dobrze, ale po 6 latach i ich spotkała kara na wsi. Witek widłami taką

Zdjęcie z legitymacji ubezpieczeniowej wykonane około 1960 r.



szmatę zadźgał za kapowanie szwabom, kto i kogo ma w partyzantce. Pamiętam też, jak jeden zaszpiclował rodzinę żydowską. Przyszli w nocy, wiedzieli, gdzie szukać. Całą rodzinę – ojca, dzieci, matkę wyprowadzili, kopali ich niemilosierdzie, potem sołtysowi kazali wziąć chłopów ze wsi i dół wykopać. Przyszedł taki chłop wyżarty, pyta się, czy jest wapno, jak tak – to sypać do tego dołu! Nasypali. Patrzą, prowadzą ich, pokulone te dzieci, matki się rączkami trzymają, płaczą, a ten Niemiec w czarnym płaszczu już kaburę odpina i dawaj kulkę w łeb temu Żydowi! Córka się wyrwała, skomli, buty mu całuje. Strzał – leży sztywna.

Ciała powrzucono do rowu, ale ja patrzę, a oni mieli takiego psa i ten Niemiec dawaj tego psa też zastrzelił i na te ciała w ten rów poszedł ten pies tak na nich. Zakopać! – padła komenda.

Tym, co kopali sołtys, przyniósł wódkę i papierosy. Nikt nie pił tej wódki, wyrzucili do Dunajca.

Takich właśnie Polaków musiałem się wystrzeżać, oni nie znali litości w szpiclowaniu germańcom.

Chodziłem zatem po górach i wioskach pomagać w gospodarstwach za litr mleka, za miareczkę ziemniaków, główkę kapusty... Nieraz wyganiano, psami szczuto, ale udało się jakoś przeżyć.

Postanowiłem iść zatem do domu. Głuche odgłosy dział było słyhać, zatem może wejdą ruscy? Posiedzę schowany w domu i może uda się przeczekać. Podszedłem w nocy pod chałupę, zakukałem cicho, ale się wszyscy uradowali. Ojciec mówi:

– W domu nie będziesz siedział, mamy stodołę na Łęgu, w górach, tam się schowasz, a ja ci będę jedzenie nosił.

Nie mam pojęcia kto, ale ktoś mnie widział i zaszpiclował. Idę z samiuśkiego ranka do stodoły, a tu Janek Cieślík mówi do mnie:

– Wojtek, na Boga, nie idź tam, tam już czekają na ciebie! Gdzieś chwilę przed tobą z bronią i w cywilu gestapowcy już tam są. Złapią i zatłuką!

Szybko z powrotem do chałupy. Trochę jedzenia w tobolek i dalej w las się ukrywać. Ojciec poszedł później. Po wojnie mi opowiadał, że jak tylko wrota do stodoły

otworzył, to nagle z siana wyskoczyło trzech z empi i dawaj do niego, ale patrzą – on stary, a oni młodego szukają.

W pysk ojca strzelił jeden i pyta, gdzie syn. Ojciec mu mówi:

– Panie, przecie to wy go zabrali na roboty!

a taki w kapelusiku z piórkiem na to:

– Uciekł, skurwysyn, ale stary nie bójcie się nic, my go złapiemy i zdechnie marnie, nie macie już syna.

Uśmiechnął się do ojca i poszli. Błąkałem się po lasach. Ciężko było z jedzeniem, chyba że 3 dni nic nie jadłem, tylko piłem wodę ze strumieni. Ale głód jest silniejszy niż rozum. Myślę sobie – idę do Szczawnicy, do miasta, może co się uda wybrać do jedzenia. Kto nie zaznał głodu, to nie wie, co się dzieje z człowiekiem, nigdy, przeningdy tego nikomu nie życzę!

Poszedłem do miasta, nie wytrzymałem. Z samego ranka idę ulicą, cisza, pustka taka. Przechodzę koło takiego muru, a tu zapachy, Jezu, jakie zapachy gotowanego się unoszą! Myślę sobie – idę tam, poproszę, może i mnie dadzą coś do zjedzenia? Wchodzę w podwórze, nie ma nikogo, drzwi pootwierane, idę więc do budynku, wchodzę po schodach, a tu biura na pierwszym piętrze. Otwieram jedne takie – łóżka piętrowe zasłane kocami, nikogo nie ma, żywej duszy! Otwieram drugie drzwi i zamurowało mnie, stoję dosłownie jak wryty! Naprzeciwko mnie na ścianie wisi portret Hitlera, biurko, na nim pistolet, dokumenty, obok stojaki, a w nich broń – mausery!!!

– No, toś Wojtusiu trafił! – pomyślałem. Powolutku, z wielkim strachem, do tyłu cicho na schody i uciekać stąd jak najdalej. Wychodzę na podwórze, oglądam na ścianę, a tu szyl, że to gestapo! No, to żem trafił ładnie, do samej paszczy hitlerowskiego gada. Taki byłem głodny i tymi zapachami zauroczony, po prostu ta myśl o jedzeniu otepiła mnie – wszystko: uszy i oczy.

Kiedy się otrząsnąłem, dawaj szybko z tego podwórza i chodu jak najdalej. Szybki krok i znów stoję jak słup. Naprzeciwko w bramę wchodzi dwóch gestapowców, czapki wykrzywione i kabury czarne u pasa. Jeden już patrzy na mnie, kiwa ręką: Komm, komm!



LISTY DO REDAKCJI

Myślę ja, już ci akurat do ciebie pójde!
Patrzę, dokoła mnie mur, parkan jest wyso-
ki, a za nim pokrzywy i zarośla takie na
2 metry wysokie. Dawaj susa i na parkan
skok, ale już widzę, jak kabury odpinają, już
strzały, już Halt, halt! słychać. Kulki mi
koło uszu świsnęły, ale uciekam ile sił. Nie
miałem pojęcia, skąd taka siła w mnie wstą-
piła, przecież ledwo wcześniej nogami po-
włóczyłem, biegłem tak cały dzień i dopiero
w lesie wieczorem usiadłem. Byłem wten-
czas młody, a człowiek młody jest silny.

Jak mnie ten strach puścił, to wszystko
wirowało kolorami w oczach, więcej do
miasteczek za jedzeniem nie chodziłem.
Wyszukiwałem małe gospodarstwa w gó-
rach i tam o robotę prosiłem, za jedzenie
oczywiście, jak zawsze. Kiedyś noc mnie
zastała w takim gospodarstwie, gospodarz,
chłop dobry, mówi:

– Panie, coś pan, będziesz po lesie spał,
walnij się pan w tej izbie i do rana prześpij.

Tak też uczyniłem. Rano się budzę, a na
ławie trup leży w garniturze do pogrzebu
wyszykowany. Mnie trupy nie dziwiły, mó-
wić do gospodarza:

– Aleście mi gościnę wyszykowali!
a on, że to żywi więcej krzywdy zrobią niż
umarli. Ruszyłem dalej, aby do wejścia Ro-
sjan. Maszeruję taką drogą przez wiesć
nocą, ciemno, słyszę nagle, a tu jakiś war-
kot samochodów i już, aha! widzę światła
reflektorów jadą, ale to nie ruscy, to Niem-
cy! Co robić? Szybko z drogi skok w krza-
ki, a tam strumyk, po kolana w wodzie sie-
dzą, dobre i to, aby nie złapali.

Kolumna jechała całą noc, a ja siedzia-
łem w tym strumyku do rana, na łokciach
się wyczołgałem z niego, nogami przez pół
dnia nie byłem w stanie ruszać.

Jednak nadszedł ten dzień, że schodzę
do wioski, a tu ludzie pijani wiwatują –
właśnie ruski żołnierz wszedł do wsi,
Niemców już nie ma! Ależ to był dzień naj-
piękniejszy w moim życiu. Krótka myśl –
dawaj do Rosjan i na Berlin, będę Hitlera
prał, ile wlezie!

Idę. Jestem w Krościenku, komendantu-
ra, stoi dwóch z karabinami. Obściskałem
ich okropnie i wycalowałem.

– Dawajcie mnie do komendanta!
a oni patrzą na mnie, co to za obszarpa-



Wojciech Szczeciniak na rok przed śmiercią

nec chce do komendanta? Ja mówię, że na
was czekałem i teraz z wami będę hitlerow-
ców prał. Wyszedł chłop w płaszczu wojsko-
wym wielki i pyta tych żołnierzy, co ja chcę
od niego, a oni się śmieją, że ja do ich wojska
na Berlin chcę iść. Popatrzył na mnie i pyta:

– A czemu ty z nami na Berlin chcesz
iść, co?

– Panie oficerze, mnie hitlerowscy w obo-
zie męczyli, jam ledwo to wszystko przeżył,
teraz ja im się odwzięczyć muszę i gada
hitlerowskiego w Berlinie z wami ubiję!!

Poklepał mnie i pozwolił zostać, ale nie
jako żołnierz, tylko taka przybłęda, co za
wojskiem idzie – a to karabiny i amunicję
niosłem, a to buty im robiłem i zupy goto-
wałem, ale byłem szczęśliwy, ogromnie
szczęśliwy .

Pod Jabłonką było wielkie natarcie, po-
tężne natarcie. Niemcy się tam zdrowo
trzymali. Ileż tam tych ruskich żołnierzy
naginęło! Nic nie pomagało, nawet wódka,
co ich poili oficerowie. Szli i masakrowali
ich niemiłosiernie.

Tydzień już nie było nic do jedzenia,
kuchnie nie przyjeżdżały w ogóle. Złapa-
łem z jednym ruskim kozę taką zabląka-
ną i dawaj ją na gulasz, ale jedna koza na
30 chłopów, co to było.

Przyszedł ten oficer, co mi pozwolił iść
z nimi na Berlin, popatrzył na to wszystko,
zawołał mnie i mówi:

– Ty znasz, ile jeszcze ludzi pójdzie w ma-
sakrę, zaczym my do Berlina dojdziemy?
Popatrz dokoła, obóz wytrzymałeś, jam taki
wyzwał na Majdanku, przeżyłeś, idź do
domu, życie przed tobą całe, tu jego szkoda.

Nie chciałem iść, ale co robić, kazał i ko-
niec. Tak naprawdę kto wie, czy bym do-
szedł do tego Berlina, a tak przeżyłem i żyję.
Wróciłem do Tyłmanowej do chałupy.

Wojna się skończyła dla mnie już w wio-
sce, przyjechał mój stryj i mówi, że nie ma
sensu tu mieszkać, bo na zachodzie gospo-
darki całe rozdają murowane z maszynami,
kto chce, może dostać eleganckie gos-
podarstwo i gospodarować. Narada krótka
w domu, pojechałem zobaczyć, jak to
wygląda rzeczywiście.

Ale to była podróż! Pociąg jeździł, ale je-
den raz na dobę na Wrocław i Legnicę, a za-
ładowany był caluteńki. Ludzie jechali na
dachach, ale było wesoło – wszystko piło
bimber, jadło kielbasę, akordeony grały, lu-
dzie się cieszyli, bo skończyła się wojna.

Z Wrocławia szedłem na piechotę do
Świdnicy i wszędzie były napisy, że ziemie
odzyskane, że to dawne po królach pol-
skich. W centrum miasta trafiłem do urzę-
du do spraw repatriantów.

Dostałem kartkę, czekać – będą wołać,
to czekałem.